

Spokojnie z ratyfikacją Traktatu

Piotr Uhma



Fiasko referendum ratyfikacyjnego w Irlandii, postawiło w całej Europie pytanie: co dalej z Traktatem Lizbońskim? To pytanie dotyczy w szczególności naszego kraju, gdzie procedura ratyfikacyjna jeszcze się nie zakończyła. Warto więc jeszcze raz na spokojnie przemyśleć stanowisko Polski w tej sprawie. Wydarzenia ostatnich kilku dni dostarczają bowiem nowych argumentów.

Irlandczycy traktat odrzucili. Słusznie, niesłusznie, małą przewagą głosów, po nieudolnej kampanii, nieważne. Odrzucili, i już. Z prawnego punktu widzenia Traktat Lizboński nie może wejść w życie. Przypomnijmy dla zupełnej jasności: procedura jego ratyfikacji wymaga bowiem zgody wszystkich, a nie tylko zgody – choćby absolutnej – większości państw członkowskich Unii. Takie są reguły, a tych nie zmienia się w czasie gry. Jak się dowiadujemy, nie dla wszystkich fakt ten jest tak oczywisty. Pokażna grupa euroentuzjastycznych komentatorów i niektórzy przywódcy europejscy nawołują do kontynuowania ratyfikacji Traktatu, pokrzykując niczym kibice po przegranym meczu: „Nic się nie stało, chłopaki, nic się nie stało!”. Otóż: stało się. Irlandzkie „nie” jest faktem. Zamiast zamiatać go pod dywan, trzeba mu stawić czoła i na nowo obmyślić jak pchnąć Europę do przodu, nie gwałcąc przy tym zasad jakie legły u jej podstaw, nie żartując sobie z demokracją, także tej proceduralnej.

To, że do porządku dziennego nad irlandzkim rozlanym mlekiem chce przejść kierownictwo Komisji Europejskiej, rządy Francji i Niemiec, nikogo nie powinno dziwić. Dla tych „graczy” Traktat Lizboński to prawdziwy majstersztyk, przydaje im władzę i polityczną przewagę, o której do dziś mogli tylko marzyć. Zwycięstwo było (jest?) o krok. Stąd taka presja, stąd zniecierpliwienie. Zauważmy dobrze, kto w dyskusji nad Traktatem krzyczy najgłośniejszy, a kto raczej siedzi cicho. Wnioski mówią same za siebie.

Niestety i ze szkodą dla ducha europejskiej demokracji głośno krzyczy także Polska, nie po raz pierwszy występując przed szereg, aby w efekcie wyjść na całej operacji jak Zabłocki na mydle. Premier Tusk, niemal jednocześnie z prezydentem Francji i wtórując niemieckiej Kanclerz zapewnił wszem o wobec, iż Polska opowiada się za kontynuowaniem ratyfikacji traktatu z Lizbony, a medialnie wypróbowani komentatorzy (tj. ci, którzy będąc „pod ręką” mogą wypowiadać się o wszystkim i wszędzie, mówiąc przeważnie to samo, tylko innymi słowami) określili referendum w Irlandii jako wypadek przy pracy i wezwali Irlandczyków, aby – zważmy na bezczelność takiej rady – głosowali jeszcze raz, chcieliby się powiedzieć – do skutku!

OK. Bądźmy szczerzy: gdybym był Niemcem, czy Francuzem, lub wysokim urzędnikiem Komisji Europejskiej byłbym dumny widząc, jak Traktat Lizboński wzmacnia pozycję mojego kraju, czy zwiększa władzę i prestiż mojego

pracodawcy. Zapewne popierałbym wtedy mój rząd w staraniach o przepchnięcie korzystnej dla niego, i w efekcie dla mnie, reformy Wspólnoty. Trudno mi jednak wiwatować widząc, jak polskie władze, a także zasadnicza część polskiej opinii publicznej z uporem godnym lepszej sprawy bezinteresownie popiera dokument, który nie stawia naszego kraju w gronie jednoznacznych wygranych tej reformy, a co najwyżej, i to przy założeniu pomyślnych wiatrów, może, ale nie musi, ułatwić prezentowanie na forum Unijnym polskich racji. Czy naprawdę zawsze musimy być świętsi od Papieża?

Niektórzy twierdzą, że tak, w szczególności aby zatrzeć na europejskich salonach niedobre wrażenie po eurosceptycznej koalicji i aby pokazać, że oprócz dwóch bliźniaków Polska ma także inne, proeuropejskie, oblicze. Wspaniale!, tylko, że mało to ma wspólnego z rzetelną dyskusją o nowym układzie sił w Unii, z korzyściami, ale i negatywami, jakie niesie ze sobą lizboński traktat. Polacy byli, są i pozostaną eurooptymistami. Popieramy – i słusznie – ideę zjednoczonej Europy, wielu a nas korzysta na co dzień z dobrodziejstw wspólnego rynku pracy, czy polityki rolnej, wspólnej przestrzeni edukacyjnej. Wyznajemy te same wartości. Niech tak dalej będzie! Nad Traktatem Lizbońskim dyskutujemy jednak tak, jak na to zasługuje profesjonalna debata: bez zadęcia, konkretnie, bo losy tego dokumentu naprawdę nie są sprawą życia i śmierci dla Europy, dla Polski, czy dla Polski w Europie.

Brakuje mi takiej konkretnej debaty. Pomijając demagogiczne pohukiwania części mediów i niektórych polityków, jakoby przyjęcie kolejnej umowy międzynarodowej – a taką jest w istocie ten Traktat - było jakimś narodowym testem na europejskość, w zasadzie rzeczowe argumenty podaje się dwa: po pierwsze, że Traktat stworzy europejską politykę zagraniczną, a tym samym polskie problemy z sąsiadami, staną się problemami Unii, po drugie: że

zreformowana Unia Europejska będzie zdolna do kolejnych rozszerzeń.

To prawda, powstanie Europejskiej Polityki Zagranicznej to milowy krok. Mówiąc jednym głosem Unia będzie zapewne zdolna wywierać silniejszy wpływ na bieg spraw na świecie. Jednak powstanie wspólnej unijnej dyplomacji to jedno, a wygrywanie swoich spraw to drugie. Każda dyplomacja ma swoje priorytety. Są sprawy, o które walczy, są sprawy, o które walczy mniej, są wreszcie takie, których nie podejmuje. Wcale nie jest więc pewne, że Polska będzie w stanie realnie wpływać na kierunki Unijnej polityki zagranicznej, i że uczestnicząc w budowie narzędzia jakim jest wspólna polityka zagraniczna nasz kraj znajdzie się w grupie tych państw narzędzie to obsługujących. Można mieć co do tego wątpliwości. Bądźmy szczerzy sami ze sobą: podawane jako sukces zniesienie przez Rosję embarga na dostawy polskiego mięsa było po części tylko sukcesem Unii. Polska zdołała zainteresować problemem Komisję Europejską, której szef poparł nasze stanowisko (a co innego mógł zrobić, wszak Komisja jest strażnikiem Traktatów?). Rosja embargo wprawdzie zniosła, a i to po polskich blokadach zawarcia umowy UE – Rosja. Bilansu handlowego sprzed konfliktu jednak nie przywróciła. Polski „wieprzowy” eksport do Rosji to obecnie kilka zakładów, które posiadają niezbędne certyfikaty weterynaryjne. Część firm zbankrutowała. Reszta czeka na niespieszne rosyjskie inspekcje i zgody. Widzimy, że z mięsnego szoku Polska się jeszcze nie otrząsnęła, trudno tu mówić o jakimś zawrotnym sukcesie, szczególnie na miarę Wspólnej Polityki Zagranicznej Unii. Reakcja Wspólnoty na polski problem nie była przecież w stylu naturalnego odruchu solidarności „jeden za wszystkich!”, co raczej mało entuzjastycznym wykonywaniem już istniejących obowiązków traktatowych. Oczekiwanie, że w przyszłości „Unia nas obroni”, a do tego potrzebna jej wspólna dyplomacja, jest pewnie nieco na wyrost. Nie ulega natomiast wątpliwości druga strona

medalu polegająca na umniejszeniu roli dyplomacji krajowych, w tym i polskiej. Rachunek zysków i strat może być dla Polski rozczarowujący, choć, przyznając, na dzień dzisiejszy udowodnić tego nie sposób.

Drugi argument, że bez lizbońskiego traktatu Unia się już nie rozszerzy i nie przyjmiemy do Wspólnot na przykład Ukrainy, jest po pierwsze nieprawdziwy, po drugie zaskakujący. Nieprawdziwy jest on dlatego, że także i pod rządami obecnych przepisów do UE mogą wstąpić kolejne kraje europejskie. Tyle tylko, że do tej akcesji potrzebne jest spisanie nowego traktatu, w którym państwa Unii z jednej strony, a każdy nowy kraj z drugiej, unormują wzajemne relacje, w tym podział władzy w instytucjach unijnych i tuzin jeszcze bardzo ważnych zagadnień. Traktat Lizboński nijako cementuje „regulamin klubu”, a nowe państwa będą miały do wyboru: wszystko, albo nic. Mogą albo zgodzić się na istniejące zasady, albo wybrać pozostawanie poza Unią. Zaskakujące jest natomiast szarżowanie argumentem dalszego rozszerzania Unii przez polskie władze, co bezkrytycznie jest powtarzane przez znaczną część polskiej opinii publicznej. Nieco upraszczając mówi się Polakom, że Traktat z Lizbony jest dla nas korzystny, bo na jego podstawie wciągniemy do Unii Ukrainę! Jeżeli by jakkolwiek polityk europejski wyszedł do ludzi i powiedział coś podobnego, zostałby zapewne wyśmiany. W Polsce ten argument powtarza się jak mantrę. Nikt tymczasem nie pokazał jasno na czym miałyby polegać owa niebywała korzyść dla będącej na dorobku Polski z członkostwa naszego wschodniego sąsiada w Unii Europejskiej, którego, na mocy lizbońskiego dokumentu, byłibyśmy akuszerem? Szanując Ukrainę, i prywatnie bardzo lubiąc Ukraińców, ja takiej wyraźnej korzyści nie dostrzegam. Na pewno nie na taką skalę, która byłaby głównym powodem ratyfikacji przez Polskę nowego Traktatu.

Uprzedzam polemikę: pomysł polityki wschodniej Unii, forsowany przez Polskę

jest trafny, podobnie jak właściwa jest pewnie polityka Unii wobec krajów Maghrebu. Obecnie polityka wschodnia istnieje jednak głównie w oratorskich popisach polskich polityków i dziennikarzy. Daleko jej na pewno do obecnego i już realnego (tj. finansowego, gospodarczego, kulturalnego) zaangażowania Unii w sprawy Bałkanów Zachodnich, czego jestem pewien spędziwszy tam kilka lat swojego życia. Na dzień dzisiejszy relacje państw byłej Jugosławii z Unią Europejską mają daleko większe szanse powodzenia w porównaniu do krajów na wschód od Bugu. Paradoksalnie, gdyż w wielu miejscach na Bałkanach wciąż konieczna jest międzynarodowa obecność wojskowa, aby mieszkańcy tych ziem wzajemnie się nie pozabijali! Paradoksalnie, gdyż cokolwiek by powiedzieć o Ukrainie, czystki etniczne tam nie grożą. Waga tak zwanego wymiaru bałkańskiego Unii Europejskiej, zdająca się nie zauważać wciąż wrzącego „bałkańskiego kotła”, jest więc najlepszym dowodem na skuteczność metodycznie prowadzonej polityki zagranicznej państw starej Unii (głównie Niemiec, Austrii, po części Włoch), co kontrastuje z nieśmiałyimi próbami pro-Ukraińskiego, czy pro-Gruzińskiego lobbingu Polski. Nie fetyszujemy więc polityki wschodniej Unii. Jej przyszłość nie może być głównym powodem, dla którego Polska popiera Traktat Lizboński, podobnie jak polityka wobec krajów północnej Afryki nie jest głównym powodem, dla którego Traktat popiera Francja.

Dobrze by się stało, aby polscy politycy i polska opinia publiczna na nowo odpowiedzieli społeczeństwu jak wybrnąć z europejskiego traktatowego impasu. Wolalbym, aby zamiast mizdrzyć się do europejskich liderów, którzy mają w lizbońskim dokumencie swoje czytelne interesy, Polska pozostała krajem zasad i zaproponowała nowe rozwiązania pchające Europę na ścieżkę rozwoju, z poszanowaniem reguł demokratycznych. Dobrze by także było, gdybyśmy lizboński kryzys wykorzystali do refleksji co zrobić,

aby z członkostwa Polski w Unii wyciągnąć jak najwięcej korzyści i jak budować realną, a nie tylko werbalną, pozycję i siłę naszego

kraju na europejskiej scenie państw. Silną Polskę, w silnej Europie.

18 czerwca 2008r.

Autor jest prawnikiem, doktorantem w zakresie prawa międzynarodowego publicznego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezesem zarządu Instytutu Europejskiego Pro Futuro Europae.